

MAGAZYN LUDZI AKCJI
SPECIAL OPS
SZEROKIE HORYZONTY

Sebastian
Cybulski

Spowiedź

Legionisty



Spowiedź
legionisty

Sebastian
Cybulski

Spowiedź legionisty



Warszawa 2013

Autor

Sebastian Cybulski

Redakcja i korekta

Katarzyna Ziębik

Fotografie na I i IV okładce

Archiwum autora

Redakcja techniczna

Studio

Projekt i opracowanie graficzne

Łukasz Gawroński

Skład i łamanie

Grupa MEDIUM

© Copyright by Grupa MEDIUM

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej pracy nie może być powielana czy rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie, w jakikolwiek sposób elektroniczny bądź mechaniczny, włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów bez pisemnej zgody wydawcy.

ISSN 978-83-64094-18-7

Wydawca

Grupa MEDIUM Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.

ul. Karczeńska 18, 04-112 Warszawa

tel. 22 512 60 60

www.ksiegarniamilitarna.com.pl

Warszawa 2013

Wydanie I

Publikacja wydana pod patronatem czasopisma **SPECIAL OPS**



SPIS TREŚCI

Czas decyzji	11
Czas instruktazu	21
Nowy pułk, nowy dom	43
Czad	61
Zasłużone wakacje	75
Zabijająca codzienność	81
Kurs kaprała	101
Misja w Kosowie	115
Druga twarz	133
Uwolnienie	147
W poszukiwaniu uczuć	159
Komando Ekwador	177
Zły kapitan	193
W cieniu „Boga”	207
Wielkie marzenie i straszne cierpienie	221
Epilog	269

Ze względu na charakter wspomnień i rodzaj służby, jaką pełnił autor, dołożyliśmy wszelkich starań, żeby nie ujawnić wizerunków i prawdziwych danych żołnierzy służących w Legii Cudzoziemskiej. Jest to istotne dla bezpieczeństwa postaci. Wiele z nich ma wciąż, delikatnie mówiąc, nie do końca uregulowaną sytuację z wymiarem sprawiedliwości w ojczystym kraju. Podobnie jak autor, który dopiero od września 2013 roku nie musi się ukrywać.

Mojej ukochanej Monice, która pobudziła we mnie na nowo miłość. Poli, naszej córeczce, wkraczającej małymi kroczkami w duży człowieczy świat. Dwóm kobietom, dzięki którym wiem, dlaczego pragnę dalej żyć. Chciałbym też zadedykować moją książkę Maksymilianowi, mojemu bratu, który mimo różnic, jakie nas dzieliły, w ważnych dla mnie momentach potrafił być przy mnie.

Pamiętający
Sebastian



CZAS DECYZJI

FRANCJA, AUBAGNE

Koszary 1. Pułku Administracyjnego
Legii Cudzoziemskiej

1996, początek września

Stało się. Moja ucieczka przed przeszłością zakończyła się porażką pewnej niedzieli, gdy jechałem autostradą z Tuluzy w kierunku Paryża. Z podparyskiego lotniska miałem odebrać kuzynkę znajomego. Rozmyślałem, słuchając muzyki. Nie spostrzegłem, że jadę za szybko. Policjant na motorze dał znak, abym zjechał za nim na pobocze. Ocknąłem się z zamyślenia. Niczego nie podejrzewając, zatrzymałem się i spokojnie wysiadłem z auta. Wręczyłem moje francuskie prawo jazdy. Policjant poprosił o inny dokument potwierdzający moją tożsamość. Zostałem zaproszony do stojącego obok policyjnego pojazdu. Siedzieli w nim inni funkcjonariusze. Przyglądali mi się bardzo uważnie. Po chwili zastawili wejście do pojazdu. Dowiedziałem się, że zostałem zatrzymany, bo jestem poszukiwany europejskim listem gończym. Poczułem pustkę, a jednocześnie ulgę. Wreszcie koniec. Ale co będzie dalej? Postanowiłem nie myśleć o tym teraz. Byłem bardzo zmęczony i marzyłem, by się położyć, zamknąć oczy, uciec w podświadomość snu, po prostu odpocząć. Lata ukrywanego stresu i napięcia zakończyły się dla mnie moralnym czyściem.

Cały następny dzień i całą noc spędziłem na posterunku policji. Mimo że dla nich byłem ukrywającym się bandytą, potraktowano mnie raczej poprawnie. W tym czasie myślałem już jednak o tym, co będzie dalej. Dzięki życzliwości funkcjonariuszy udało mi się wykonać kilka ważnych telefonów – powiadomiłem brata i inne bliskie osoby. W poniedziałek, przed południem prokurator przedstawił mi zarzuty. Zdecydowano, że zostanę zatrzymany aż do momentu przekazania mnie w ręce polskiej policji. Przewieziono mnie do pobliskiego więzienia w Bourges, gdzie spędziłem dziesięć dni. W celi zamieszkałem z pewnym Marokańczykiem, z którym – poza jedną małą sprzeczką – żyłem raczej zgodnie. To tam po raz pierwszy pomyślałem poważnie o napisaniu tej książki. Na początku po prostu miało mi to pomóc przetrwać. Chodziło o to, by zająć się czymś od wczesnej pobudki do ciszy nocnej, kiedy już wszystkie światła pogasną. Po dziesięciu dniach przewieziono mnie do innego zakładu karnego, który mieścił się na obrzeżach Paryża. A trzy dni później stanąłem na ojczystej ziemi – po długich czternastu latach. Powoli uświadomiłem sobie, gdzie jestem, i wiedząc, co mnie już w niedalekiej przyszłości czeka, zbierałem siły na nieznany jeszcze czas. Wiedziałem, że będzie to czas walki.

Cofnijmy się jednak do roku 1996. Jest początek września. Rok temu zostałem wypuszczony z aresztu śledczego, w którym spędziłem dziewięć miesięcy. Trafiłem tam dzięki „pomocy” pewnego gościa z Gniezna, który wcześniej dzięki mnie wybudował sobie okazały dom. Kiedy pojawiła się u niego policja, zamiast ustalić ze mną, jak mogliśmy sobie pomóc, by z tego wyjść, po prostu oddał mnie w ręce przedstawicieli prawa.

Tak w ogóle to szczęścia raczej w życiu nie miałem. Nie rozczułam się nad sobą. Po prostu stwierdzam fakty, które dla mnie samego jeszcze do niedawna były zbyt bolesne, bym mógł o nich tak otwarcie opowiadać.

Na zdrowie raczej nigdy nie narzekałem. Głowa, choć młoda i narwana, do różnych pokus namówić się nie dała. Wychowywaliśmy się z bratem sami. Rodzice zmarli, gdy byliśmy jeszcze bardzo młodzi. Za

tatą tęskniłem od zawsze. Był moim idolem, mimo że pod sam koniec choroby (walczył z rakiem) z bólu i nienawiści powiedział, że mnie wyklina. Wybaczyłem mu. Wiedziałem, że był bezsilny, że często nie wiedział, co mówi. Z mamą było inaczej. Alkoholiczka. Wiele złego czyniła sobie i nam. Często obrywałem za brata. Często też siedziałem przy niej do samego rana. Pilnowałem, by nie zrobiła sobie nic złego. Kiedy wreszcie usypiała, całkowicie wyczerpana, niewyspani, szliśmy z bratem do szkoły. Matka zmarła ponoć na astmę, ale do dziś okoliczności jej śmierci owiane są tajemnicą.

Już gdy byłem dzieckiem, mówiono o mnie, że mam charakterek. Pchałem się wszędzie, gdzie się dało. Uprawiałem różne sporty, których wcześniej zakazali mi lekarze. Jeszcze w przedszkolu, z powodu choroby, na którą zapadłem, chcieli mi zakazać wszelkiego typu zabaw z dziećmi, a także uprawiania sportu. Diagnoza: zapalenie opon mózgowych. Wyrok: wegetacja życiowa. Powód: zaniedbanie przez opiekunkę w przedszkolu, która pewnego dnia przed wyjściem na plac zabaw ubrała mnie nie dość ciepło, a że była zima, zachorowałem ciężko i znalazłem się w szpitalu (wśród innych ciężko chorych dzieci, z których większość w tamtych czasach umierała). Nie słuchałem porad lekarzy. Chciałem żyć jak inne dzieci – jak inni chłopcy grać w piłkę, szarpać się z kolegami, a nie stawać się powoli organizmem wegetującym na koszt społeczeństwa. Imałem się różnych dyscyplin – uprawiałem piłkę nożną, boks, ale nie stroniłem także od zmagani uliczno-dyskotekowych. Bywało różnie, ale wciąż żyję – i to jest najważniejsze.

Wracając do owego feralnego 1996 roku... Nic mi nie wychodziło. Jakis pech. Rozstałem się z dziewczyną po ośmiu latach toksycznego związku. Brak motywacji do robienia czegokolwiek. Poczułem, że jestem zmęczony, że się wypaliłem. Rozejrzałem się więc dookoła i zobaczyłem tylko spaloną ziemię, pech i zdradę. Zdecydowałem więc, że czas przeżyć coś nowego – odkryć inny świat!!!

Postanowiłem, że spełnię moje wielkie marzenie i zaciągnę się do Legii Cudzoziemskiej. Tam być może odnajdę inne bratnie, zagubione dusze. Poznałem pewnego typa, zwanego w środowisku sportowym

Pancernikiem. Podobno służył kiedyś w ZOMO. Walczył też w kadrze kick-boxingu. Spotkałem się z nim pewnego dnia w klubie bilardowym na ulicy Mazowieckiej. Ale niektórzy odradzali mi Legię: „Nie idź tam, masz za sztywny kark” – powiedział mi pewien gość. Nazywał się Mieczysław Zapior. W tamtych czasach mógł w „mieście” wiele (nie wiedział, że dwa lata później będzie spędzał wakacje w Egipcie, że będzie nurkował w morzu i już więcej nie wypłynie na powierzchnię). Zaproponował mi, abym nigdzie nie jechał, a on pomoże mi w rozwiązaniu paru problemów pod warunkiem, że trochę dla niego popracuję. „Nie, niestety, wyjeżdżam, jestem już tym wszystkim zmęczony” – odpowiedziałem, dając do zrozumienia, że nie zmienię podjętej decyzji. No cóż, byłem uparty i zdecydowany. Wiedziałem też, że decydując się na ten krok, wyjazdem z kraju zamknę za sobą wszystkie drzwi, nie będzie już odwrotu.

Do Francji wybrałem się autokarem, sama podróż trwała około czterdziestu godzin. W autobusie poznałem pewnego polskiego studenta, który tak samo jak ja jechał do Tuluzy. Kiedy jednak podczas rozmowy dowiedział się, w jakim celu wybrałem się do Francji, zaniemówił na chwilę, po czym przez resztę podróży starał się namówić mnie do zmiany decyzji. Proponował też, że pomoże mi w znalezieniu jakiejś pracy, bylebym tylko nie szedł do Legii. „Tam są tylko mordercy. Będzie ci ciężko” – mówił. Na co ja mu odpowiadałem, że lubię wyzwania i to będzie moja nowa przygoda. „Będzie dobrze” – uciałem rozmowę. Po dotarciu do Tuluzy udał się jednak ze mną do punktu werbunkowego. Kierunek wskazał nam trochę zdziwiony naszym pytaniem policjant. W biurze, za dużym biurkiem siedział barchysty legionista. Patrzył na nas trochę dziko, ale budził respekt. Mój nowy kolega przedstawił po francusku powód naszej wizyty. W pewnej chwili w pomieszczeniu pojawił się też drugi legionista, z wyglądu podobny do pierwszego, i mówiąc coś do siedzącego za biurkiem kompana, wyrwał mi z rąk paszport. Rzucił go na biurko. Siedzący za nim żołnierz chwycił go potężnymi łapami, otworzył i zaczął spisywać coś na kartce. Następnie oznajmił, że mam się zgłosić ponownie za trzy dni,

a oni w tym czasie dokładnie mnie sprawdzą. Nie rozumiałem dobrze, co takiego niby mieliby sprawdzać, ale zanim zdążyłem się odwrócić, wypchnięto nas na dwór, zatraskując za nami drzwi.

Mój nowy kolega zaprosił mnie do swojego mieszkania, w którym niedługo miał zamieszkać ze swoją dziewczyną, także studentką. Dziewczyna miała dotrzeć do Tuluzy dopiero za kilka dni, więc mogłem się u niego przespać i zdecydować, co mam robić dalej.

Mijał dopiero pierwszy dzień, a ja już potwornie się nudziłem. Wieczorem było jeszcze gorzej. Próbowałem usnąć. Udało mi się to dopiero nad ranem. Kiedy się obudziłem, wiedziałem, że muszę zrobić wszystko, by mnie przyjęli. Byłem zdeterminowany. Oznajmiłem mojemu gospodarzowi, że pójde sam: „Może wtedy przyjmą mnie bez zbędnych wyjaśnień”. Wręczyłem mu też pieniądze, które już nie były mi potrzebne, pożegnałem się i ruszyłem w kierunku biura werbunkowego. Wspiąłem się ponownie po wąskich schodach, zapukałem i nie czekając już na odpowiedź, wszedłem do środka. Zastałem tam tych samych legionistów co dzień wcześniej. Wydawali się zaskoczeni moją kolejną wizytą. Z nieskrywaną złością (bo właśnie przerwałem im jakąś „niezwykle zajmującą” dyskusję) zabrali mi paszport, podsunęli pod nos wyjęty z szuflady formularz, który – jak zrozumiałem – miał być moim kontraktem wstępnym. Następnie pokazali mi wyjście na długi, wąski korytarz i kazali przejść przez otwarte drzwi znajdujące się na jego końcu. Kiedy przez nie przeszedłem, raptownie zatrzaśnięto je za mną, przekręcając klucz w zamku. Poszukałem włącznika światła. Przekręciłem. Na ścianach pomieszczenia, w którym się znajdowałem, poprzyczepiane były liczne zdjęcia przedstawiające legionistów z różnych stron świata. Obok pozawieszane były emblematy wszystkich pułków cudzoziemskich stacjonujących zarówno na terenie Francji, jak i w różnych miejscach na świecie. W pomieszczeniu tym stało sześć łóżek piętrowych, ale na razie byłem tam sam, więc mogłem wybrać sobie dowolne miejsce, położyć się i zamknąć oczy. Odpocząć. Wreszcie odpocząć. Może nawet usnąć.

Przez następnych siedem dni legionistów z biura werbunkowego widywałem bardzo rzadko. Zabrano mnie do lekarza, aby poddać testom wstępnym. Zostałem też skierowany do sprzątania i zmywania naczyń. To wszystko nie miało już jednak dla mnie większego znaczenia – najważniejsze, że zostałem przyjęty.

Nadszedł wreszcie wieczór, kiedy w towarzystwie jednego z odpowiedzialnych za mnie legionistów udaliśmy się na dworzec kolejowy. Wsiadliśmy do pociągu w kierunku miejscowości Aubagne, w której stacjonował 1. Pułk Administracyjny Legii Cudzoziemskiej. Następnego dnia, wczesnym rankiem, dotarliśmy na miejsce. Mój towarzysz drogi, wściekły na mnie za zabrany mu czas, pozostawił mnie na posterunku przed bramą wjazdową do koszar, wręczając kopertę z moim nazwiskiem obecnemu sierżantowi, po czym udał się szybko w drogę powrotną do Tuluzy. Ja tymczasem, idąc za tym sierżantem w głąb koszar, nie mogłem opanować narastającej we mnie radości. Wchodziliśmy pod górę. Po mojej prawej stronie, w dole ujrzałem wielki pomnik przedstawiający czterech legionistów: w centrum znajdowała się kula ziemiska, sylwetki żołnierzy stały do niej plecami, a spojrzenia legionistów skierowane były w cztery strony świata. Wyglądali jak śpiący rycerze, oparci o swoje karabiny zamiast mieczy i oczekujący na sygnał pobudki.

Dotarliśmy do budynku administracyjnego. Kazano mi poczekać na korytarzu. Wreszcie zostałem wezwany. „Cybulski!” – ktoś poprawną polszczyzną wypowiedział, a raczej wykrzyczał moje nazwisko. Wstałem więc i ruszyłem, modląc się w duszy, żeby się udało. Legionista w stopniu sierżanta (najprawdopodobniej Polak) zadawał mi wiele pytań dotyczących mojej przeszłości oraz powodów, dla których chciałem wstąpić do Legii. „Byłeś karany?” „Nie, nie byłem!” Nie było to nawet kłamstwo, wyroku jeszcze przecież wtedy nie miałem. „Żonaty, dzieciaki ma?” „Nie, nie ma” – odpowiedziałem krótko. „Jestem kawalerem” – dodałem szybko, oglądając jednocześnie pokój, w którym byłem przesłuchiwany. Uwagę moją przykuła wisząca na ścianie polska flaga i zdjęcie Jana Pawła II. „Co tak się rozglądasz?” Zmieszałem



*Chwila odpoczynku
w słowińskim
towarzystwie*

się, ale szybko przywróciłem mojej twarzy wyraz pozornego spokoju. Przecież ważyły się moje losy! „Denerwujesz się, co? Może jednak masz coś do ukrycia?” „Nie, nie mam nic do ukrycia. Po prostu chciałbym się dostać. To wszystko” – dodałem spokojniejszy. „Dobra, przejdiesz badania zdrowotne, testy psychotechniczne i wytrzymałościowe. Pamiętaj – dodał na zakończenie sierżant – to wszystko teraz zależy tylko od ciebie!” Rozkazał mi wyjść. Odprowadzono mnie do położonego niżej piętrowego budynku, w którym miałem mieszkać przez najbliższe dni w oczekiwaniu na testy. Jeden z obecnych tam kaprali, pokazując mi palcem piętro, mówił coś po francusku. Dawał mi do zrozumienia, abym ruszył biegiem na piętro, gdzie miałem się przebrać w stary zielonkawy dres i ponownie zbiec na dół. Potem zabrano mnie do dużej sali, wypełnionej ochotnikami w różnym wieku, pochodzącymi z najrozmaitszych stron świata. Wśród nich byli tacy, po których zaraz przyjeżdżała policja, pakowała ich do swoich samochodów i znikali za

bramą koszar. Można więc powiedzieć, że pierwsza selekcja zakończyła się dla mnie pomyślnie – zostałem w koszarach.

Na noc zapędzono nas jak stado koni na piętro, gdzie mieliśmy się wykapać, przebrać i przygotować do nocnego apelu, który często był pełen niespodzianek w postaci wymyślonych przez kaprały ćwiczeń. Potem na sygnał wskakiwaliśmy do wcześniej pościelonych łóżek. Następowała zbawienna dla nas cisza nocna, która trwała aż do wczesnego ranka. Budzono nas o 4.30. Potem prędką toaleta, apel, szybki marsz w szyku do stołówki, błyskawiczne śniadanie, podczas którego wręczano nam plastikowe torebki z prowiantem, który miał nam wystarczyć na cały dzień. Bez względu na pogodę i temperaturę trzymano nas aż do godzin wieczornych na obszernym placu apelowym. Często przydzielano nas też do różnych prac na terenie jednostki, wiadomo – tania siła robocza zawsze była, jest i będzie w cenie, zwłaszcza gdy ma się pod ręką ochotników. Sprzątaliśmy więc kuchnię, stołówkę, klub legionistów. Zawożono nas też do Palambier, miejscowości, w której znajduje się pensjonat dla byłych legionistów. Przebywali tam mężczyźni często w podeszłym już wieku, którzy nikogo poza Legią nie mieli. Zawieziono mnie tam pewnego dnia. Przyglądałem się im i przyznam, że widok ten był dziwny. Ludzie ci byli często już po sześćdziesiątce, a zachowywali się jak młodziaki – prowokowali się nawzajem i kłócili między sobą, nieraz skacząc sobie do gardeł. Ale tak ogólnie, było tam wesoło. Wracając wieczorem do koszar, dużo o tych weteranach myślałem. Ci bohaterowie zostali zapomniani przez społeczeństwo, dla którego ryzykowali codziennie własnym życiem! Być może to jest właśnie cena bycia legionistą?

Tymczasem w ośrodku selekcja trwała dalej. Najgorsze były jednak popołudniowe zbiórki. O godzinie czternastej, podczas apelu wyczytywani byli ci, którzy nie zostali przyjęci. Każda więc taka zbiórka powodowała u mnie ogromną nerwowość i byłem bliski zwymiotowania. „Panowie, ja już się dostałem”. Słowa te wypowiedział jeden z Polaków, których tu poznałem kilku. „Jak to! Kto ci to powiedział?” – zapytał Jacek. „Zrobiłem dzisiaj rano na teście dziewięć okrążeń”

– gość odpowiedział pewnym siebie tonem. Fakt, było to naprawdę dużo. Na tym właśnie polegał jeden z testów fizycznych, zwany „testem Coopera”. Biegało się na czas po bieżni stadionu, jedno okrążenie wynosiło czterysta metrów, a trzeba było tych okrążeń zrobić w ciągu dwunastu minut jak najwięcej. Później jednak pewniakowi mina zrzedła: „Dlaczego akurat ja. Bzdura. To syf” – krzyczał, a po południu odjechał do domu. Potem dowiedzieliśmy się, że gość oblał test psychotechniczny. Na szczęście mnie (choć biegałem nie najlepiej), Jackowi i dopiero co poznanemu Arturowi udało się przejść wszystkie testy.

Codzienne życie w ośrodku obfitowało w najróżniejsze historie – mniej lub bardziej zabawne. Na placu apelowym, na którym przebywaliśmy przez cały dzień, rosło najzwyczajniejsze w świecie drzewo figowe. Okazało się ono jednak drzewem „świętym” i było pod stałą obserwacją czujnych kaprali, którzy tylko czekali na to, aby pokazać licznej grupie zgłodniałych wyrzutków, jak są słabi i że nie zasługują na miano legionisty. Ochotników, którzy próbowali zrywać z tego drzewa owoce, po prostu wyrzucano.

Innym razem w ośrodku pojawił się dziwny chłopak z Polski, jakiś taki wścibski. Zadawał mnóstwo dziwnych pytań. Tu, gdzie każdy jak najskrzętniej skrywa swoje tajemnice, było to złamaniem jednej z podstawowych zasad. Szybko też zainteresowali się nim kaprale i już po paru dniach zniknął bez wieści. Mówiono później, że został zde-maskowany jako dziennikarz i bez zbędnych ceregieli wydalono go z ośrodka.

A cóż poza tym... Przychodzili tu i stąd odchodzili naprawdę najróżniejsi osobnicy: wariaci, sportowcy, byli żołnierze, zdraźdzeni, poszukiwani... Jedno, co tak naprawdę nas wszystkich łączyło, to fakt, że każdy liczył na jeszcze tę jedną szansę na rozpoczęcie życia od nowa.



Młodzi i... piękni

CZAS INSTRUKTAŻU

FRANCJA, CASTELNAUDARY

Koszary szkoleniowe Legii Cudzoziemskiej

Wrzesień 1996-styczeń 1997

Nadszedł decydujący dzień. Jak każdego ranka zebrano nas wszystkich na placu apelowym, gdzie starszy kapral Kamiński rozpoczął wyczytywanie nazwisk tych, którzy mieli pojechać do ośrodka szkoleniowego Legii Cudzoziemskiej. Jak zwykle w takich stresujących sytuacjach żołądek odmawiał mi posłuszeństwa – był czuły na przeżywane przeze mnie emocje i kurczył się, powodując odruchy wymiotne. „Cybulski” – padło moje nazwisko. Stałem z tyłu (a byłem jednym z niższych) i nic nie usłyszałem. A może po prostu zjadły mnie nerwy. „Cyyyybuulski” – głos kaprała ponownie uniosł się nad naszymi głowami. Tym razem zareagowałem. Krzyknąłem coś niezrozumiałego, co miało oznaczać „Jestem!”, jednocześnie wybiegłem z szeregu, stanąłem przed odpowiedzialnym za nas legionistą. Obok niego stali sierżant i kapral z owego pułku szkoleniowego, do którego mieli zostać zabrani wybrańcy z naszej grupy. Stojąc przed nimi na baczność, słuchałem, co do mnie mówiono po francusku, i choć i tak nic z tego nie rozumiałem, wiedziałem, że zostałem wybrany na szkolenie instruktażowe. No i mój żołądek troszkę się uspokoił – koniec stresu, który towarzyszył od miesiąca. Wskazano mi wybranych wcześniej ochotników,

ustawionych w innym szeregu, i kazano stanąć wraz z nimi. Starszy kapral Kamiński wykrzyczał kolejne nazwisko i przed szeregiem pojawił się potężny facet. Jego twarz nie wyrażała kompletnie nic. Jak się później okazało, gość był z Bródna, trenował boks w Legii Warszawa i – co dziwniejsze miał identyczną ze mną datę dzienną urodzin – obaj byliśmy kwietniowymi bykami (ja byłem cztery lata starszy). No i ja także trenowałem boks. Miał też bardzo podobne do moich blizny na prawnym policzku. Wkrótce zostaliśmy przyjaciółmi. Szybko się dogadaliśmy, świadomi, że w najbliższej przyszłości lepiej, abyśmy trzymali się razem i mogli liczyć na siebie w różnych, być może ciężkich, sytuacjach. Po ogłoszeniu wszystkich nazwisk mieliśmy chwilę, aby ochłonąć po tym, co się właśnie stało. „Zajebicie, dostaliśmy się!” – Jacek (bo tak miał na imię ów gość z Bródna) był szczęśliwy tak jak ja. „No to mamy chwilę spokoju” – powiedziałem raczej do siebie niż do Jacka. Byłem już spokojniejszy. Odszedłem parę kroków i zwymiotowałem. Oczyszcilem się nie tylko z tego, co było w żołądku, ale przede wszystkim z wszystkich myśli o przeszłości. Po południu zabrano nas do fryzjera i ogolono nam głowy, po czym udaliśmy się do magazynu, gdzie wręczono nam wszystko, co miało być niezbędne podczas instruktazu, czyli mundury, bieliznę, buty, berety, ręczniki i różne przybory. No a przede wszystkim mieliśmy po raz pierwszy w życiu przymierzyć białe kepi – atrybut żołnierza Legii Cudzoziemskiej. Oficjalnie będą mogli je nosić tylko ci, którzy ukończą ciężki marsz. Na razie mogliśmy sobie na te nasze kepi tylko popatrzeć. „Merde!” – wkurzał się kapral, który przymierzał pewnemu Amerykaninowi wszystkie rozmiary kepi. Problemem okazała się głowa rekruta – wielka i nieforemna, o niesamowitym rozmiarze sześćdziesięciu czterech centymetrów w obwodzie. Biedny chłopak był wykończony, bo rozwścieczony kapral okładał go po skroniach, usiłując wbić na jego czaszkę kolejne kepi. Wszystkim nam ulżyło, gdy wreszcie trafił na odpowiednio dużą czapkę i zaprzestał zabawy w młotkowego. Rozkazał nam odmaszerować z wielkimi, pełnymi torbami.

¹ *merde* (fr.) – gównno

Następnego dnia rano, po śniadaniu, zapakowano nas do autobusu i zawieziono na dworzec kolejowy w Aubagne skąd (z przesiadką w Marsylii) ruszyliśmy do Castelnaudary, gdzie przez najbliższe cztery miesiące mieliśmy przejść instruktaż połączony z wpajaniem systemu egalitarnego. Chodziło po prostu o stworzenie z nas nowych ludzi... Legionistów! Jednak do tego była jeszcze bardzo długa droga i choć dla przeciętnego człowieka przedział czasowy czterech miesięcy jest być może chwilą, to dla nas miał się stać dziurą w czasoprzestrzeni, w której mieliśmy się zawiesić na nieokreślony okres, aby nasze umysły i ciała mogły doznać olśnienia wbijanego nam przez kaprali pięściami. Ale to wszystko było jeszcze przed nami. Siedząc w przedziale pociągu, zatopiony się w marzeniach, rozkoszowałem się chwilą odpoczynku. Starłem się nie myśleć o tym, co może mi się przytrafić podczas zbliżającego się instruktażu. Było nas razem czterdziestu ochotników – Polacy, Rosjanie, Rumuni, Węgrzy, Słowacy i paru innych pochodzących z różnych stron świata.

Przybyliśmy do koszar. Pokazano nam nasze pokoje. Następnie zaprezentowano nas przed dowódcą plutonu i natychmiast zaprzęgnięto do różnych prac. Mieliśmy pobrać odpowiedni sprzęt, który miał nam służyć przez najbliższe miesiące, przygotować przeznaczone dla nas pokoje (sześciuosobowe, z metalowymi łózkami, obok łazienka z dwoma zlewami i dwoma prysznicami) i ułożyć nasze rzeczy w wąskich metalowych szafach (po jednej dla każdego). Balkon naszego pokoju wychodził na wielki kwadratowy plac apelowy, wokół którego stały budynki takie jak nasz. Na placu tym, naprzeciwko biura dowódcy pułku, ustawiony był wysoki maszt z dumnie powiewającą francuską flagą narodową. Niżej łopotał zielono-czerwony trójkątny proporzec Legii Cudzoziemskiej. Jeszcze niżej zawieszono były proporce w kolorach oznaczających poszczególne kompanie.

Nasze szafy były całkiem spore, co pozwalało nam na ułożenie wszystkich mundurów, bielizny i innych podręcznych rzeczy pierwszej potrzeby, takich jak przyrządy do golenia, długopis czy zeszyt. W części górnej znajdowała się szeroka półka, na samym jej środku mieliśmy

ułożyć pudełko kartonowe po butach, zawinięte w nieskazitelnie biały ręcznik. Na tej konstrukcji, nazywanej „telewizorem”, miało spoczywać nasze białe kepi, które i tak na razie nie mogliśmy dotykać. Na środku „telewizora” ułożony miał być tradycyjny niebieski pas, spod którego, po bokach zawiniętego w ręcznik kartonowego pudełka zwisały epolety ozdobione na końcach plecionymi czerwonymi sznurkami. Niżej, pod tą szeroką półką, była przegroda dzieląca w pionie szafę na dwie równe połowy. Po prawej stronie od góry do dołu umocowanych było pięć półek przeznaczonych na przybory do mycia, podkoszulki, skarpetki i inne mniejsze elementy naszej garderoby, po lewej zaś było sporo miejsca na płaszcz, koszulę i bluzę wyjściową. Wszystkie szafy zawsze musiały być otwarte, aby kaprale mogli je w każdej chwili skontrolować. Pod łóżkiem należało ustawić buty, począwszy od wysokich butów szkoleniowych, przez sportowe, na kapciach skończywszy – wszystkie miały stać w jednej linii. Łóżka w dzień miały być posłane, koce złożone w nogach, w kwadrat, jeden na drugim i przykryte dwoma zwiniętymi w rolki i ułożonymi po przekątnej prześcieradłami.

Rozpoczął się instruktaż. Wszystko wykonywaliśmy w zawrotnym tempie. Nie było chwili na rozmyślanie. Nieustannie mieliśmy wrażenie, że doba zegarowa jest stworzona przeciwko nam. Pobudka o piątej. Bombardowanie wojskową muzyką, która była z nami wszędzie – towarzyszyła nam podczas śniadania, obiadu i kolacji, podczas całodziennych zajęć i przed snem. Przenikała nasze ciała, słyszeliśmy ją w najciemniejszych zakamarkach naszych umysłów, podświadomie nuciliśmy ją pod nosem, stała się znakiem naszego nowego życia w grupie, gdzie wszystko zaplanowane było co do minuty.

Dzień w dzień ćwiczyliśmy musztrę. Niektórzy z ochotników mieli problemy motoryczne i nie byli w stanie opanować kroków defiladowych, co oczywiście powodowało wściekłość kaprali i natychmiastową karę grupową w postaci niezliczonej ilości pompek. Zdarzało się, że cały dzień wykonywaliśmy pompki – miejsce i aura nie grały większej roli. Do tego doszło podciąganie na drążku i czołganie się po ziemi lub po korytarzu – najlepiej podczas ciszy nocnej, tłu-

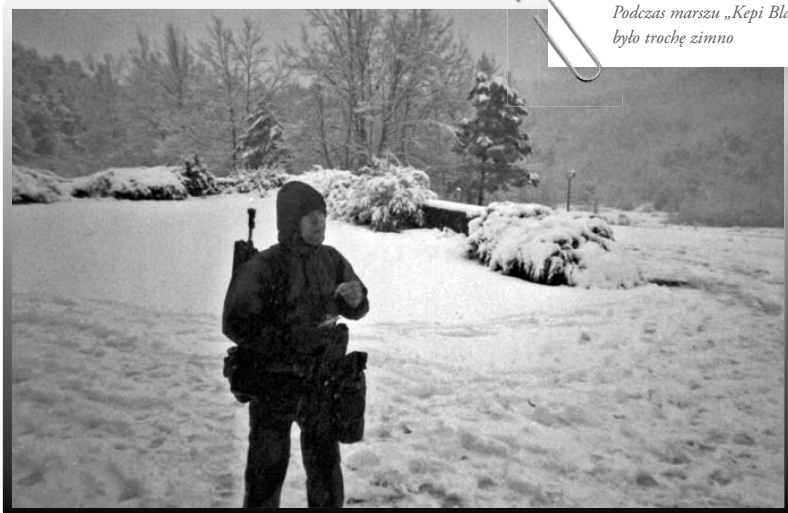
miącej w swoich ciemnościach dramaty niewyspanych, zmęczonych i głodnych ochotników, często już bez sił i energii, którzy poddawali się beznamyślnie woli instruktorów.

Minął pierwszy tydzień instruktazu. Rozpoczęliśmy przygotowania do pierwszego wyjazdu w teren, czyli na farmę. Nastąpił pierwszy kontakt z bronią. Czas, teoretycznie wolny od zajęć, wypełniały nam wciąż powtarzane ćwiczenia z musztry. Brak odpoczynku, walka z czasem, ze snem, ze zmęczeniem. Rozpoczęliśmy mozolne ćwiczenia z prasowania własnych rzeczy. Prasowaliśmy wszystko – mundury, koszule, majtki, skarpetki. Miałem wrażenie, że stałem się robotem na pamięć prasującym każdy element mojego, jakże innego teraz, życia. Totalna zmiana skali wartości, każdy dobrze wyprasowany kant spodni czy koszuli sprawiał, że byliśmy z siebie bardzo dumni. Towarzyszyła nam dewiza, że każdy legionista osobiście pierze i prasuje wszystkie swoje rzeczy.

„Stary, jedziemy na marsz, będziemy mieli teraz przerąbane!” – powiedział Jacek, z którym zdążyłem się już zaprzyjaźnić. „I tak nas to kiedyś musiało spotkać” – odparłem z pozornym spokojem, choć zdawałem sobie sprawę, że już teraz jesteśmy skrajnie wyczerpani i że kaprale zrobią z nas tam najprawdopodobniej istoty podobne do zombie, a adres zameldowania w naszych dokumentach zostanie zastąpiony wpisem: „Gdzieś na cmentarzu przyszło mu spocząć”.

„Reveil!” – krzyczał jeden z kaprali, kopiąc w każde drzwi. Zrywamy się szybko z łóżek. Wszystko wykonujemy błyskawicznie, niemal na pamięć. Pod nasz budynek podjechały trzy stare ciężarówki typu TRM 4000. Były to pojazdy raczej już wysłużone. Żeby było śmieszniej, sprzęgło trzeba było wciskać na dwa razy, co przy zmianie biegów powodowało odgłos zgrzytania wielkich kół zębatach, które nie chcą się łożyć. Dodatkowo podstawiono dla dowódcy plutonu francuską wersję jeepa (produkowaną przez fabrykę Peugeot), zwaną potocznie P4. Kazano nam spakować na pojazdy wszystkie przygotowane dzień wcześniej rzeczy. Zbiórka na parkingu. Dowódca w stopniu starszego sierżanta zaprezentował nasz pluton dowódcy kompanii w stopniu

² *reveil* (fr.) – pobudka



*Podczas marszu „Kepi Blanc”
było trochę zimno*

kapitana, a ten, życząc nam w krótkim przemówieniu powodzenia, dał rozkaz do wyjazdu z koszar.

Wreszcie wyruszyliśmy na marsz „Kepi Blanc”, co oznaczało, że jeżeli za parę dni dojdziemy o własnych siłach do wskazanego wcześniej celu, będziemy mogli włożyć na nasze głowy święte białe kepi. „Embarque³” – padł rozkaz, abyśmy wskakiwali do rozgrzanych ciężarówek. Wreszcie wyruszyliśmy w nieznane, gdzie walka z samym sobą będzie nam towarzyszyć dzień i noc. Po pewnym czasie kolumna samochodów zatrzymała się, a my, podzieleni wcześniej przez kaprali na grupy, czekaliśmy, gotowi do tego pierwszego i decydującego o naszej przyszłości marszu. „Ruszamy!” – padła komenda. Szliśmy w ciszy, jeden za drugim. Zanurzyliśmy się powoli w gęstwinę drzew i krzaków, podążając za sierżantem i kapralami, którzy co jakiś czas odchodzili na bok, aby nas obserwować i ewentualnie huknąć dla zasady na któregoś.

Gdy tak szedłem, miałem dużo czasu, aby sobie wszystko przemyśleć. Tyle że myśleć już mi się praktycznie nie chciało. Moje dawne życie, wspomnienia zniknęły, pozostawiając miejsce nowym odczuciom i po-

³ *embarque* (fr.) – wsiadaj